

DZIEŃ DOBRY, PROSZĘ PANI!

Kader Abdolah

Rotterdam stara się, jak może, zbliżyć do siebie mieszkańców miasta: Imigracja!
Integracja!

W związku z tą akcją zostałem ostatnio zaproszony do szkoły, by poczytać uczniom, w większości dzieciom imigrantów.

Była to zwyczajna szkoła podstawowa, w której jednak dużo uwagi poświęca się nauce języka. Dzieci uczą się tu wymawiać „sz” jak „sz”, a nie jak „s”, proszę wymawiać jak proszę, a nie jak prosię. Krótka mowa: to szkoła, w której uczą mówić proszę pani, a nie prosię pani.

Miałem przeczytać dzieciom fragment książki Annie M.G. Schmidt. Padał deszcz, a ja szedłem wesoło do tej szkoły. Nie wiedziałem jeszcze, że dałem się złapać w pułapkę.

Cały korytarz i wszystkie klasy przystrojone były plakatami Annie M.G. Schmidt i ilustracjami z Julka i Julki. Dyrekcja przyjęła mnie po królewsku. Po filiżance kawy zostałem zaprowadzony prosto do klasy.

„Dzień dobry”, zawołały dzieci chórem, dyrygowanym przez nauczycielkę, a ja zasiadłem na przygotowanym dla mnie krześle. Dwadzieścia, nie, dwadzieścia pięć dziewczynek i chłopców wpatrywało się we mnie z ciekawością. (Co takiego chce nam opowiedzieć ten pan?!)

Ta ich ciekawość zbiła mnie nieco z tropu, ale już po chwili zawołałem rezolutnie: „Dzień dobry, dziewczynki! Dzień dobry, chłopcy! Dzień dobry, proszę pani!”.

„Nie, nie, źle pan to wymawia, nie mówi się prosię, ale proszę”, zawołali chórem.

Roześmiałem się głośno i próbowałem się poprawić: „Zgoda: prozę!”.

„Nie”, odpowiedział chłopiec, „mówi pan prozę, musi pan powiedzieć proszę, o tak: «sz», «sz», «sz», niech pan powtórzy!”.

„S! s! s!” powiedziałem. „Mówi pan «s», «s», «s», a musi być po prostu «sz», o tak: «sz»! «sz»!” Nie wiedziałem, co robić. Dobrze się bawiłem, ale znalazłem się w pułapce. Za każdym razem byłem przez nich poprawiany, tak że nie śmiałem się więcej odezwać.

Roześmiałem się głośno. „Dobrze, dużo się dzisiaj nauczyłem! Poczytajmy teraz trochę!” powiedziałem, a pani nauczycielka włożyła mi do rąk dużą, kolorową książkę.

„Pan poczyta wam Julka i Julkę”, powiedziała głośno i w klasie zapadła cisza. Otworzyłem książkę i zacząłem czytać pierwszy rozdział, opowiadający o pierwszym spotkaniu Julka i Julki. Przez dziurę w żywopłocie Julek zagląda do ogrodu sąsiadów. Po drugiej stronie widzi nagle nosek, buźkę i oczka. „Kto ty jesteś? Nie mieszkałaś tu wcześniej!”, woła.

„Jestem Julka! Teraz tu mieszkam!”, odpowiada dziewczynka.

Przeczytałem opowiadanie bezbłędnie, idealnie, bez zarzutu, a dzieci słuchały uważnie i krytycznie. Nie, nie udało im się przyłapać mnie na żadnym, najmniejszym nawet błędzie. Zapadła cisza. Dzieci popatrzyły na siebie i nagle zaczęły bić mi brawo. Dobrze!

„Podobało wam się, dzieci?”, zapytała nauczycielka.

„Bardzo! Bardzo!”, zawołali chórem.

Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł.

Podniosłem książkę do góry i zawołałem: „Mam do was pytanie! Kto napisał tę książkę?!”

„Kader Abdolah!”, zawołały chórem.

Poczułem się wspaniale!

Tłumaczenie: Ewa Dynarowicz

WALIZKA

Kader Abdolah

Kiedy wystukałem na klawiaturze komputera ostatnie słowo mojej książki, jej wrota się zamknęły, a ja zostałem na zewnątrz. Moi bohaterowie już mnie nie potrzebowali. Nagle nie miałem już nic więcej do zrobienia. Przez ubiegłe trzy lata, codziennie o ósmej rano zasiadałem do komputera i tkwiłem przy nim do piątej. Pisałem, usuwałem. Przez cały ten czas byłem twórcą. To ja decydowałem, kto gdzie miał się udać, kto miał zostać w domu, kto mógł żyć dalej, a kto musiał umrzeć. Ja decydowałem, kto mógł się zakochać i kto mógł spać obok swego ukochanego. Teraz moi bohaterowie zatrzasnęli przede mną drzwi i nie chcieli wpuścić mnie do środka.

W panice poszedłem do salonu. Na której kanapie powinienem usiąść? Gdzie zwykle siadywałem?

Chwyciłem kurtkę i wyszedłem z domu, żeby się przespacerować. Kiedy pracowałem nad książką, chodziłem na długie spacery. Myślałem wtedy o moich bohaterach, o tym jak dalej miało potoczyć się ich życie i jak powinno rozwijać się opowiadanie. Do wczorajszego dnia byłem pewny siebie, wiedziałem, że napiszę jeszcze wiele książek, ale teraz ta pewność siebie znikła. Bałem się, że twórcza magia mnie opuściła.

Źle spałem w nocy, nękały mnie koszmary. Wiedziałem, że są one częścią procesu twórczego. Trzeba po prostu cierpliwie czekać, aż ta faza minie. Głowa musi odpocząć, aby mogło w niej powstać nowe opowiadanie. Jednak strach nie pozostawia miejsca na cierpliwość.

Pewnej nocy przyśnił mi się nieżyjący od pięciu lat ojciec. Ponieważ nie mogłem wrócić do ojczyzny, nie byłem obecny na jego pogrzebie. Dlatego ojciec pojawia się w moich snach. Według perskiej tradycji dobrze jest śnić o zmarłych. To przynosi szczęście, daje poczucie spełnienia, jest błogosławieństwem. Ale zmarli nie powinni do nas mówić. Jeśli się do nas zwracają, nie wróży to nic dobrego. A jeśli nas dotkną lub obejmą, może to nawet oznaczać nasz koniec. Zmarli dają nam w ten sposób do zrozumienia, że za nami tęsknią i że chcą nas zabrać ze sobą.

Zmarli wiedzą o tym, dlatego prawie nigdy z nami nie rozmawiają i rzadko nas dotykają. Objęcie jest niemal niedopuszczalne.

W moich snach ojciec zawsze zachowywał odpowiedni dystans. Nie patrzył na mnie, nie gestykułował. Właściwie tylko przyglądał mi się ukradkiem. Kiedy na niego patrzyłem, odwracał twarz.

W snach często odwiedzam mój rodzinny dom. W jednym z takich snów dom był pełen ludzi. Byli tam wszyscy. Dzieci dorosły, a wujkowie i ciotki się postarzel. Spacerowałem po pokojach i patrzyłem na szafy, krzesła, lodówkę i kuchenkę, które też się postarzały. Dotknąłem starej jabłoni i opłukałem ręce w oczku wodnym na naszym podwórzu. Kiedy spojrzałem w górę na gwiazdy, zobaczyłem ojca stojącego na dachu, szybko jednak ukrył się w mroku.

W zeszłym tygodniu przyśniło mi się coś innego. Właśnie zapadł wieczór, a ja spacerowałem po starym wale wzdłuż rzeki IJssel. Przy s-Heerenbroek, dokładnie w miejscu gdzie prom zawsze przybija do brzegu, zobaczyłem w oddali idącego mężczyznę. Pomyślałem, że pewnie spaceruje z psem. Kiedy podszedł bliżej, nagle rozpoznałem jego sylwetkę. Na głowie miał kapelusz, a w ręku laskę. Zdałem sobie sprawę, że to mój ojciec. Kiedy ostatni raz go widziałem, wyglądał identycznie, miał ten sam kapelusz i tę samą laskę. Z radością ruszyłem w jego stronę. On też się przybliżył. Byłem przekonany, że zawróci, gdy tylko zauważy, że go poznałem.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu nie przestawał iść w moim kierunku. Właśnie kiedy pomyślałem: tak, teraz zawróci, podniósł rękę i pomachał do mnie.

Ten gest mnie zaskoczył. Stałem tak przez chwilę i nie wiedziałem, jak zareagować. Potem też pomachałem do niego. Byłem ciekaw, co zamierzał.

Z uśmiechem rozpostarł ramiona.

O Boże, pomyślałem, czego może ode mnie chcieć?

Ale nie było czasu, aby długo się zastanawiać. Ostatnio widzieliśmy się wiele lat temu, więc wszelką ostrożność odsunąłem na bok, podszedłem do niego, objąłem go i oparłem głowę na jego ramieniu.

Kiedy się obudziłem, zdałem sobie sprawę, że mi się przyśnił. Natychmiast zamknąłem oczy, aby zatrzymać sen, zanim się rozmyje.

Wedle tradycji, nie można opowiadać swoich snów, zwłaszcza jeśli przyśnili nam się zmarli, a zwłaszcza jeśli zmarły nas dotknął lub objął.

W domu uczono nas, że zmarli czuwają nad nami, że martwią się o swoje dzieci. Kiedy jesteśmy smutni, oni również są zasmuceni, a kiedy jesteśmy szczęśliwi, oni też się radują. W trudnych momentach są bliżej nas, chcą nam pomóc na tyle, na ile to możliwe.

Sen o ojcu długo nie dawał mi spokoju.

Kilka nocy później znowu przyśniło mi się coś niezwykłego. Szedłem tą samą drogą, po wale, w kierunku Wilsum. W tym śnie pracowałem cały dzień i chciałem zrobić długi spacer aż do placu przed kościołem we wsi i z powrotem.

Po wale nigdy nie jeździły samochody, ale często traktory, a od czasu do czasu samochód Inspekcji Wałów Przeciwpowodziowych. Teraz zobaczyłem zbliżające się wielkie auto. Nie było to zwykłe auto, ale karawan.

Kiedy podjechał bliżej, odsunąłem się na bok, aby mógł przejechać, ale samochód się zatrzymał. Przez ciemne szyby widziałem niewyraźnie kilka siedzących w środku osób. Kierowca opuścił okno i przywitał mnie po persku. Nie znałem go, ale usłyszałem, jak jeden z pasażerów woła mnie po imieniu. Nachyliłem się, aby sprawdzić kto to.

Obok kierowcy siedział mój ojciec, a z tyłu zobaczyłem babcię i dziadka, którzy już od lat nie żyli. Ojciec nic nie mówił. Na kolanach trzymał walizkę. Jego oczy były nieruchome. Babcia i dziadek byli bardzo szczęśliwi, śmiali się i dziękowali Bogu, że w końcu udało im się mnie odnaleźć. Dziadek wysiadł z samochodu, objął mnie, zawołał: „Chodź, chodź chłopcze” i zaprosił do środka. Babcia przytuliła mnie do siebie i pocałowała w głowę.

Byłem zdumiony. Nie rozumiałem, co to wszystko znaczy.

– Byłeś małym chłopcem, kiedy widziałam cię po raz ostatni – zawołała entuzjastycznie babcia. – Spójrz tylko! Teraz jesteś mężczyzną.

Dziadek położył mi rękę na ramieniu:

– Nareszcie! Zawsze chciałem cię zobaczyć, chłopcze. Tyle o tobie słyszałem!

Dziwiło mnie, że mój ojciec nic nie mówił i nie włączał się do rozmowy. Zauważyłem, że czuł się niezręcznie. Nie podobało mu się, że babcia mnie całuje, a dziadek obejmuje.

Kierowca włączył silnik. Zawrócił na bocznej drodze i ruszył w kierunku Wilsun. Kim był ten kierowca? Skąd się wziął?

Nie było drogi odwrotu. Skoro za mną tęsknili, nie miałem wyboru. Po prostu musiałem jechać z nimi. Czułem smutek. Myślałem, że napiszę jeszcze w życiu wiele książek. I że jeśli kiedyś będę mógł wrócić do ojczyzny, znowu będę pisał po persku.

Było jeszcze tyle książek, które chciałem przeczytać. Niedawno zacząłem Shahname, wspaniałe klasyki perskiej literatury. Chciałem przeczytać tę książkę do końca. Dotarłem do fragmentu, w którym Rostam, stary, mityczny bohater, musiał stawić czoła młodemu wojownikowi nieprzyjaciela. Po długiej walce Rostam rani przeciwnika swoim mieczem. Młodzian spada z konia. Rostam, który w trakcie pojedynku czuje do młodzieńca ojcowską miłość, klęka przy nim i pyta o jego imię.

– Jestem Sohrab, syn perskiego bohatera Rostama.

Rostamowi robi się ciemno przed oczyma. Przypomina mu się noc spędzona w kraju wroga, gdzie poznał pewną kobietę. Dalszy ciąg opowieści był dla mnie jeszcze tajemnicą.

Kierowca jechał dalej, a moi dziadkowie podziwiali holenderski krajobraz. Ponieważ już dawno nie żyli, wielu rzeczy nigdy nie doświadczyli i wszystko ich interesowało. Bardzo im się podobało, kiedy auto z hałasem minął jadący ukosem wielki traktor. Nigdy wcześniej nie widzieli krów we mgle. Ani rzeki, która płynęłaby tak powoli. Ze zdumieniem przyglądali się królikom z białymi ogonkami, rozpierzchającymi się po łące, a kiedy przejeżdżaliśmy obok gospodarstwa położonego pośrodku rzeki, otworzyli szeroko usta ze zdziwienia.

– Czemu milczysz, chłopcze? – zapytał dziadek.

Próbowałem opowiadać o moim pobycie w Holandii, o języku, ale mi się nie udawało. Mój ojciec siedział z przodu na swoim siedzeniu i patrzył prosto przed siebie. Czułem, że był zły, ale nie rozumiałem dlaczego czy na kogo. Może wcale nie chciał, abym jechał z nimi, ale dziadek i babcia źle go zrozumieli. +

Kierowca wjechał do Wilsum. Dziadek uważnie przyglądał się staremu kościołowi i placykowi. Powiedział, że nigdy nie widział kościoła z tak bliska.

– Dlaczego milczysz, chłopcze? – zapytał. – Nie cieszysz się, że nas widzisz?

– Cieszę się – odpowiedziałem. – Ale nie spodziewałem się, że wy...

– Czego się nie spodziewałeś?

– Nie, to znaczy, jeśli chcecie, jeśli dziadek chce, mogę pokazać dziadkowi kościół. To ładny kościół, byłem w nim kilka razy.

Nie bacząc na to, kierowca wyjechał z wioski. Skręcił w lewo na zwykłą drogę i ruszył w kierunku starego, żelaznego mostu w Kampen.

Przy moście, po drugiej stronie rzeki, zobaczyłem dziwny cmentarz, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Może właśnie przez ten cmentarz za wałem przyszli po mnie moi zmarli.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez most, mój dziadek zapytał:

– Chłopcze, gdzie właściwie dokładnie mieszkasz? Tam, koło tych domów?

– Nie, nie tam. To inne miasto. Może będę mógł dziadkowi pokazać. Kiedy nie ma chmur, w oddali można zobaczyć słynną wieżę kościelną. Tam mieszkam, gdzieś tam, za tą wieżą.

Popatrzył przez tylną szybę.

– Czy to może ta?

– Nie. Musi dziadek patrzeć w tamtym kierunku, w dal. Wygląda jak solniczka.

– Solniczka?

I wtedy stało się coś strasznego. Samochód przechylił się na prawą stronę i uderzył w most. Szyba pękła. Babcia krzyknęła. Coś twardego uderzyło mnie w głowę, a potem samochód, z nami w środku, spadł z mostu.

Nie wiem, co się stało potem, ale w pewnej chwili usłyszałem, jak babcia uderza się w twarz i płacze, a dziadek zawodzi: „Allahu, Allahu, co teraz zrobimy z tym chłopcem”.

Byłem martwy i leżałem na brzegu rzeki, obok tamtego cmentarza.

Pomimo że nie żyłem, widziałem, jak moi dziadkowie siedzieli zasmuceni obok mnie. Bardzo żalowali, że przyjechali i mnie ze sobą zabrali. Ale stało się.

Kierowca próbował wyciągnąć z rzeki przewrócone auto. Mój ojciec nie płakał. Wydawało mi się nawet, że cieszył się z mojej śmierci. Podejrzywałem, że to on spowodował wypadek, nagle pociągnął za kierownicę samochodu, który zjechał z drogi i spadł z mostu. Teraz stał obok, wciąż trzymając w ręku walizkę.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, że teraz, kiedy nie żyłem, nie mogli mnie już zabrać ze sobą. Musieli zostawić moje ciało na brzegu i odejść.

Zrezygnowani udali się na cmentarz. Płacząc, znikli gdzieś między starymi grobami. Ojciec odczekał chwilę, aż się oddalili. Postawił walizkę na ziemi obok mojego ciała i sam też pospieszył w stronę grobów.

Wedle tradycji, jeśli umrzesz we śnie, będziesz żył dłużej.

Obudziłem się, przypomniałem sobie mój sen i poczułem radość. To był niezwykły sen, bo w rzeczywistości nigdy nie widziałem dziadka. Zmarł, zanim się urodziłem. Sen był dowodem na to, że nasi zmarli nad nami czuwają.

Mój dziadek był poetą. Znałem kilka jego wierszy na pamięć, ale nigdy dotąd nie poświęciłem jego poezji zbyt dużo uwagi. Zapamiętałem zwłaszcza jeden wiersz, o kuszących ustach i zębach kobiet:

„Godaja rast goejand fetne az tost
Wali az tars natwanam tjagiedan.
Labo dandane torkane Gota ra
bé in goebie na bajad afariedan...”
„Boże, nie śmiem tego powiedzieć,
Ale prawdą jest, że to ty sam jesteś przyczyną kłopotów,
inaczej nie stworzyłbyś ust i zębów żon Gota
tak pięknymi”.

Babcia nie wiedziała, co począć z tymi miłosnymi lirykami.

– Czy to dla ciebie dziadek napisał te wiersze? – dokuczaliśmy jej zawsze.

– Nie, w swoim życiu widział tyle zębów i ust, że moim nie poświęcał już uwagi.

Dzień rozpocząłem z dobrym uczuciem, ale teraz nie byłem już pewny, czy przyśnił mi się ojciec. Prawie całkiem zapomniałem mój sen.

+

Spotkanie we śnie może być czasem równie udane i żywe jak to samo spotkanie w rzeczywistości. We śnie wydarzenie może być nawet jeszcze prawdziwsze.

Takie doznanie znam jeszcze z młodości. Byłem zakochany w mojej dziewczynie, ale wedle zwyczaju nie mogliśmy się dotykać.

Pewnej nocy, we śnie, przysłała do mnie ukradkiem obłana potem i usiadła na brzegu łóżka. Nachyliła się i szepnęła:

– Śpisz jeszcze?

Nigdy nie zapomnę jej obecności w moim pokoju tamtej nocy.

Po południu pojechałem na rowerze tą samą trasą, którą szedłem we śnie. Krajobraz wyglądał dokładnie tak samo. Zabawne – po wale jechał ten sam traktor, a po łące biegały króliczki z białymi ogonkami.

Szukałem gospodarstwa na rzece i znalazłem je. Wcześniej go nie zauważyłem. Naprawdę znajdowało się pośrodku rzeki.

Jechałem dalej w stronę mostu w Kampen. Na moście zsiadłem z roweru, podszedłem do miejsca, w którym samochód uderzył o barierkę, i spojrzałem w kierunku miasta, aby sprawdzić, czy z tej odległości widać było solniczkę wieży kościelnej.

Nagle przypomniałem sobie resztę mojego snu. Zobaczyłem ojca siedzącego w samochodzie z walizką na kolanach. Spojrzałem na miejsce, w którym we śnie znajdował się cmentarz. Teraz leżało tam bajorko. Pojechałem w tamtą stronę. Kiedy stanąłem w miejscu, gdzie leżało moje ciało, przypomniałem sobie, że w ostatniej chwili ojciec postawił walizkę obok moich zwłok i odszedł.

Choć byłem martwy, wstałem. Zobaczyłem walizkę i przewrócony karawan. Otworzyłem walizkę. W środku znajdował się plik starych zapisków, których nie umiałem odczytać. Napisane były pradawnym pismem, w języku, w którym starzy perscy królowie wykuwali swoje reliefy. Co to za walizka i co moi zmarli chcieli mi powiedzieć poprzez tę podróż i zapiski? Nic z tego nie rozumiałem, ale wiedziałem, że nie przynieśli mi walizki bez powodu. Zamknąłem ją, chwyciłem i powędrowałem przez most z powrotem na wał: do domu.

Pomimo że z tak daleka zazwyczaj nie można ich dostrzec, wyraźniej niż zwykle widziałem oświetlone wieże kościołów w Zalk i w Wilsum, a nawet oświetloną solniczkę, na której siedział żywy kogut i poruszał skrzydłami. Z ciemności wyłoniła się oświetlona barka, a siedzący za sterem w kabinie kapitan popatrzył w moją stronę.

Nie żyłem i w głębi serca czułem, że tak jest dobrze.

Jako Pers wiedziałem też, że nasi zmarli sprawują nad nami pieczę i że ruszają nam z pomocą, kiedy tego potrzebujemy. Tak jak teraz, kiedy bałem się, że już nic nie uda mi się napisać, a oni przynieśli mi te zapiski.

Minąłem Wilsum, z jego małymi, oświetlonymi domami, w których starzy ludzie siedzieli na kanapach i patrzyli na zewnątrz. Starsza pani czytająca gazetę wstała i spojrzała na mnie. Traktor wiózł do gospodarstwa ostatni ładunek siana. Grupa dzikich gęsi z hałasem wzbiła się do lotu i po chwili leciała już cicho w stronę starego mostu na IJssel.

Zobaczyłem, że kawiarnia przy promie była otwarta. Niepełnosprawne dziewczęta, które tu pracowały, wyszły wszystkie na zewnątrz, aby odprawić mnie wzrokiem.

Szedłem dalej. Wiedziałem, że za parę minut w moim śnie wzejdzie słońce. Wtedy zniknie walizka. Wtedy zniknę i ja. W tych zapiskach musi kryć się opowieść, tajemnica, ale jak mam uratować ją przed światłem?

Na wschodzie wzeszło słońce.

Zniknąłem.

Walizka pozostała w trawie, na wale.